

Tajemnica, która może zagrozić brytyjskiej monarchii

# SEKRET LISTU



Autorka serii *Siedem Sióstr*

LUCINDA RILEY

# Prolog

*Londyn*  
*20 listopada 1995*

– James, kochany, co ty tu robisz?  
Zdezorientowany, rozejrzał się, a potem, potykając się, ruszył przed siebie.

Złapała go tuż przed upadkiem.

– Lunatykowałeś, prawda? Chodź, położę cię do łóżka.

Łagodny głos wnuczki utwierdził go w przekonaniu, że wciąż żyje. Wiedział, że stoi tu nie bez powodu, że musiał coś pilnie zrobić, ale odkładał to na ostatnią chwilę...

Umknęło mu to jednak. Zgnębiony, pozwolił, by praktycznie zaniósła go do łóżka; gardził swoimi kruchymi kończynami, przez które czuł się jak bezradne dziecko, gardził niezbornym umysłem, który znowu go zdradził.

– Gotowe – powiedziała, gdy ułożyła go wygodnie. – Jak ból? Chcesz jeszcze trochę morfiny?

– Nie. Proszę...

To morfina robiła mu z mózgu galaretę. Jutro nie weźmie wcale i przypomni sobie, co musi zrobić przed śmiercią.

– Dobrze. Musisz się rozluźnić i spróbować zasnąć. – Wnuczka gładziła go po czole. – Wkrótce przyjdzie lekarz.

Wiedział, że nie wolno mu zasnąć. Zamknął oczy i gorączkowo szukał, przeszukiwał... fragmenty wspomnień, twarze...

Nagle ją ujrzał, tak wyraźnie jak w dniu, gdy spotkał ją pierwszy raz. Taka piękna, łagodna...

– *Pamiętasz, kochanie? List...* – szeptała. – *Obiecałeś go zwrócić...*

Ależ tak...!

Otworzył oczy, ale kiedy próbował usiąść, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz wnuczki. Potem poczuł bolesne ukłucie w zagłębieniu łokcia.

– *James, kochanie, lekarz daje ci coś na uspokojenie* – mówiła. Nie! Nie!

Słowa ugrzęzły mu w gardle, a gdy igła wbiła się w rękę, zrozumiał, że odkładał to zbyt długo.

– Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro – wykrztusił.

Wnuczka patrzyła, jak powoli zamyka oczy i jego ciało się rozluźnia. Gdy przytknęła gładki policzek do policzka dziadka, stwierdziła, że jest wilgotny od łez.

\*

*Besançon, Francja  
24 listopada 1995*

Powoli weszła do salonu i zbliżyła się do kominka. Dziś było zimno, kaszel się nasilił. Kiedy jej kruche ciało opadło na krzesło, wzięła ze stołu najnowsze wydanie „Timesa”, żeby przy herbacie English Breakfast, którą zawsze piła, przeczytać nekrologi. Na widok nagłówka zajmującego jedną trzecią pierwszej strony z brzękiem uderzyła filiżanką o spodek.

#### ODEJŚCIE ŻYWEJ LEGENDY

*Sir James Harrison, uważany przez wielu za największego aktora swego pokolenia, zmarł wczoraj w swoim londyńskim domu w otoczeniu rodziny. Miał 95 lat. Pogrzeb odbędzie się w przyszłym tygodniu, a w styczniu w Londynie zostanie odprawione nabożeństwo żałobne.*

Serce jej się ścisnęło; z najwyższym trudem przeczytała resztę – gazeta tak mocno drżała w jej dłoni. Pod artykułem widniało jego zdjęcie z królową, gdy odbierał Order Imperium Brytyjskie-

go. Łzy zamazały zdjęcie; wodziła palcem wzdłuż mocnego profilu, po gęstej, siwej czuprynie...

Czy może... czy odważy się wrócić? Tylko ten jeden raz, żeby się pożegnać?

Herbata stygła, a ona przewróciła pierwszą stronę gazety, by czytać dalej, smakować detale jego życia i kariery. Potem jej uwagę przykuł niewielki nagłówek poniżej.

#### KRUKI ZNIKNĘŁY Z TOWER

*Wczoraj wieczorem ogłoszono, że słynne kruki z londyńskiej Tower zniknęły. Według legendy, ptaki urzędowały tam od ponad pięciuset lat, zgodnie z rozkazem Karola II strzegąc Tower i rodziny królewskiej. Wczoraj wieczorem dozorca ptaków zauważył ich zniknięcie. Obecnie toczą się poszukiwania na terenie całego kraju.*

– Boże, dopomóż – wyszeptała, a lęk rozlał się po jej starych żyłach. To może zwykły zbieg okoliczności, ale знаła tę legendę...

# 1

*Londyn*  
*5 stycznia 1996*

Joanna Haslam, czując rżenie w płucach, pędziła co tchu przez Covent Garden. Wyminęła turystów i dzieciaki idące do szkoły, o mały włos nie zderzyła się z artystą ulicznym, plecak zsunął się jej z ramienia. Na Bedford Street wypadła w chwili, gdy limuzyna zatrzymywała się przed żelazną bramą kościoła Świętego Pawła. Szofer wysiadł, by otworzyć drzwi, a samochód otoczyła chmara fotoreporterów.

Cholera! Cholera!

Resztką sił Joanna przebiegła ostatnie metry dzielące ją od bramy i wpadła na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. Zegar na ceglany frontonie kościoła potwierdził, że się spóźniła. Zbliżając się do wejścia, omiotła wzrokiem grupę paparazzich i zobaczyła, że jej fotograf Steve zajął idealną pozycję na schodach. Pomachała do niego, a kiedy pokazał jej uniesione kciuki, przecisnęła się przez fotografów stłoczonych wokół osobistości, która właśnie wysiadła z limuzyny. W końcu Joanna znalazła się w kościele. Z żyrandoli zawieszonych pod wysokim sklepieniem padało łagodne światło na wypełnione ławki. W tle słychać było dźwięki podniosłej muzyki organowej.

Joanna szybko machnęła plakieta z akredytacją dziennikarską, po czym z trudem łapiąc oddech, z ulgą zajęła miejsce w ławce na tyłach. Jej ramiona wznosiły się i opadały z każdym oddechem, gdy szperała w plecaku w poszukiwaniu notesu i długopisu.

Choć w kościele panował ziąb, czuła na czole kropelki potu;

czarny golf z miękkiej wełny, który wciągnęła w gorączkowym pośpiechu, nieprzyjemnie lepił się do ciała. Wyjęła chusteczkę i wytarła nos. Przeczesła dłonią splecione długie, ciemne włosy, oparła się, zamknęła oczy i usiłowała złapać dech.

Nowy rok zaczął się tak obiecująco. Teraz Joanna czuła, jakby nie tyle strącono ją, ile zrzuciono ze szczytu Empire State Building. Błyskawicznie. Bez ostrzeżenia.

A wszystko z powodu Matthew, miłości jej życia, a raczej by-łej miłości jej życia.

Przygryzając mocno dolną wargę, próbowała znowu się nie rozplakać. Wyciągnęła szyję, żeby zlustrować wzrokiem ławki przed ołtarzem, i zobaczyła z ulgą, że członkowie rodziny, na których wszyscy czekali, jeszcze nie przybyli. Za głównymi drzwiami na dworze paparazzi zapalali papierosy i majstrowali przy aparatach. Żałobnicy przed Joanną zaczęli się wiercić na niewygodnych drewnianych ławkach i szeptać do sąsiadów. Pospiesznie wyszukiwała w tłumie najślawniejsze osoby, o których mogłaby wspomnieć w artykule; próbowała je rozpoznać po tyłach głów, w przeważającej mierze siwych lub całkiem białych. Gdy zapisywała nazwiska w notesie, ponownie przypominała sobie to, co zdarzyło się poprzedniego dnia...

Wczoraj po południu Matthew nieoczekiwanie pojawił się na progu jej mieszkania w Crouch End. Po hucznym imprezowaniu w Boże Narodzenie i sylwestra postanowili rozejść się do swoich mieszkań i odpocząć przed powrotem do pracy. Joannę, niestety, dopadło najgorsze przeziębienie od lat. Gdy Matthew zapukał, w starej flanelowej piżamie i skarpetach w prążki otworzyła drzwi, ściskając ozdobioną Kubusiem Puchatkiem butelkę wypełnioną gorącą wodą.

Gdy Matthew zaczął się kręcić w drzwiach, nie chciał zdjąć kurtki i patrzył wszędzie, tylko nie na nią, wyczuła, że coś jest nie tak.

Potem powiedział, że trochę „myślał” i że, jego zdaniem, ich związek zmierza donikąd. Może czas dać sobie spokój.

– Jesteśmy razem od sześciu lat, od końca studiów – dodał, obracając w dłoniach rękawiczki, które podarowała mu na

Gwiazdkę. – Sam nie wiem... zawsze sądziłem, że z czasem zechcę się z tobą ożenić... no wiesz, oficjalnie połączyć nasze życia. Ale tak się nie stało... – Bez przekonania wzruszył ramionami. – Skoro nie czuję tego teraz, to chyba już nigdy nie poczuję.

Ściskając butelkę z gorącą wodą, Joanna przyglądała się jego twarzy, wyrażającej rezerwę i poczucie winy. W kieszeni piżamy znalazła wilgotną chusteczkę i mocno wysiąkała nos. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

– Co to za jedna?

Po twarzy i szyi Matthew rozlał się rumieniec.

– Nie chciałem, żeby tak się stało – wymamrotał. – Ale stało się i dłużej nie mogę udawać.

Przypomniała sobie wspólnego sylwestra sprzed czterech dni i doszła do wniosku, że udawał całkiem nieźle.

Miała na imię Samantha. Pracowała w tej samej agencji reklamowej co Matthew. Ni mniej, ni więcej, tylko główna księgowa. Zaczęło się tamtej nocy, kiedy Joanna czaiła się na posła torysów w związku z brudną aferą i nie zdążyła dotrzeć do agencji swojego chłopaka na przyjęcie gwiazdkowe. Słowo „banał” wciąż wirowało jej w głowie. Ale czyż banały nie są wspólnym mianownikiem ludzkich zachowań?

– Naprawdę próbowałem przestać myśleć o Sam – ciągnął Matthew. – Starałem się przez całe święta. Tak dobrze się bawiłem u twojej rodziny w Yorkshire. Potem, w zeszłym tygodniu, poszedłem z nią tylko na drinka i...

Joanna wypadła. Samantha wskoczyła na jej miejsce. Takie to było proste.

Wpatrywała się w niego bez słowa; w jej oczach płonął szok, gniew i lęk.

– Początkowo sądziłem – mówił dalej – że to zwykłe zauroczenie. Ale skoro czuję coś takiego do innej kobiety, to po prostu nie mogę się zaangażować w związek z tobą. Robię tylko to, co należy. – Spojrzał na Joannę, niemal prosząc, by podziękowała mu za tak szlachetną postawę.

– To, co należy – powtórzyła głucho. Potem po jej rozpalonych gorączką policzkach popłynęły zimne łzy.



Gdzieś w oddali Matthew mamrotał dalsze usprawiedliwienia. Zmuszając się do otwarcia opuchniętych, załzawionych oczu, Joanna osunęła się na sfatygowany skórzany fotel. Czuła się mała i upokorzona.

– Wynos się – wychrypiała. – Wredny, nikczemny, kłamliwy, cholerny oszuście! Wynocha!

Po fakcie największą udrękę budziło w niej to, że nie musiała go dłużej przekonywać. Wstał, zamruczał coś o swoich rzeczach zostawionych u niej, o tym, żeby spotkali się, kiedy emocje opadną, a potem popędził do drzwi.

Wczorajszy dzień spędziła, wyplakując się przez telefon matce i poczcie głosowej swego najlepszego przyjaciela Simona, płakała w coraz bardziej mokre futerko Kubusia Puchatka na butelce.

W końcu, dzięki sporym ilościom paracetamolu z difenhydraminą i brandy, osunęła się w niebyt, wdzięczna za parę dni wolnego, które należały się jej za pracę po godzinach przed Gwiazdką.

Dzisiaj o dziewiątej rano zadzwoniła jej komórka. Joanna wyrzuciła się z farmakologicznego otumanienia i sięgnęła po telefon, modląc się, żeby to był skruszony Matthew, do którego dotarła potworność tego, co zrobił.

– To ja – warknął szorstki głos z akcentem z Glasgow.

Zakłęła bezgłośnie do sufitu.

– Cześć, Alec. – Pociągnęła nosem. – Czego chcesz? Dzisiaj mam wolne.

– Przykro mi, ale nie. Alice, Richie i Bill są chorzy. Odpracowane dni będziesz musiała odebrać sobie kiedy indziej.

– Mogą dołączyć do klubu. – Joanna zakaszłała przesadnie w słuchawkę. – Przykro mi, Alec, ale ja też umieram.

– Spójrz na to tak: pracuj dzisiaj, a kiedy wydobrzejesz, będziesz mogła się cieszyć należnym urlopem.

– Naprawdę nie mogę. Mam gorączkę. Ledwie się trzymam na nogach.

– W takim razie dasz sobie radę. To robota na siedząco w kościele aktorów w Covent Garden. O dziesiątej jest tam nabożeństwo żałobne za sir Jamesa Harrisona.



– Alec, błagam, nie możesz mi tego robić. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba, to siedzenie w zimnym kościele. Idź na nabożeństwo za mnie.

– Przykro mi, Jo, nie mam wyboru. Zapłacę ci za taksówkę do kościoła i z powrotem. Zaraz po nabożeństwie możesz wrócić do domu i przesłać mi artykuł mailem. Spróbuj porozmawiać z Zoe Harrison, dobra? Wysłałem Steve’a, żeby cyknął foty. Jeśli Zoe się wystroi, powinniśmy trafić na pierwszą stronę. Dobra, do usłyszenia później.

– Szlag by to! – Joanna opadła obolałymi plecami na poduszkę, ale w końcu zadzwoniła po taksówkę i powlokła się do szafy, żeby znaleźć coś czarnego.

Zazwyczaj kochała swoją pracę, wręcz dla niej żyła, jak często powtarzał Matthew, ale tego ranka poważnie zastanawiała się dlaczego. Po paru fuchach w gazetach lokalnych w zeszłym roku zatrudniła się jako młodsza reporterka w „Morning Mail”, jednym z najlepiej sprzedających się dzienników ogólnokrajowych, którego redakcja mieściła się w Londynie. Niestety, z trudem zdobyta pozycja – wciąż jeszcze niska – raczej nie pozwalała Joannie odmawiać. Alec, szef newsroomu, niejednokrotnie przypominał, że za jej plecami kłębi się tysiąc wygłodniałych dziennikarzy. Sześciotygodniowy okres w newsroomie okazał się najcięższym z dotychczasowych wyzwań. Bezlitosne godziny pracy i Alec, na przemian poganiacz niewolników i szczerze oddany zawodowiec, który nie oczekiwał od podwładnych ani krztyny mniej, niż sam był gotów dać.

– W każdej chwili przeniosłabym się do działu lifestyle – mruzczała, pociągając nosem, gdy wyciągała z szafy niezbyt czysty czarny golf, grube wełniane rajstopy i czarną spódnicę.

Taksówka przyjechała dziesięć minut później, a potem utknęła w kolosalnym korku na Charing Cross Road.

– Przykro mi, złotko, siła wyższa – powiedział taksówkarz.

Joanna zerknęła na zegarek, wcisnęła mu dziesięć funtów i wyskoczyła z samochodu. Kiedy ciężko dysząc i pociągając nosem, pędziła ulicami w stronę Covent Garden, wątpiła, by życie mogło być gorsze.

Wierni nagle przestali szeptać, co wybiło ją z zamyślenia. Otworzyła oczy, odwróciła się i ujrzała członków rodziny sir Jamesa Harrisona wchodzących do kościoła.

Na czele szedł Charles Harrison, jedyne dziecko sir Jamesa, dziś już dobrze po sześćdziesiątce. Mieszkał w Los Angeles i kręcił wysokobudżetowe filmy pełne efektów specjalnych. Joanna przypomniała sobie, że kiedyś dostał Oscara, ale nie gustowała w tego typu filmach.

U boku Charlesa Harrisona szła jego córka, Zoe Harrison. Zgodnie z oczekiwaniami Aleca, wyglądała olśniewająco w czarnym kostiumie z krótką spódnicą. Zaczesane do tyłu włosy upięte w wytworny kok uwydatniały jej klasyczną urodę angielskiej róży. Zoe była wschodzącą gwiazdą kina, za którą Matthew wprost szalał. Twierdził, że przypomina mu Grace Kelly – najwyraźniej jego ideał kobiety – co kazało Joannie zastanawiać się, dlaczego spotyka się z ciemnooką, wysoką i chudą brunetką jak ona. Przełykając gulę w gardle, pomyślała, że jest gotowa założyć się o butelkę z Kubusiem Puchatkiem, że Samantha jest drobną blondyneczką.

Zoe Harrison trzymała za rękę dziewięcio-, może dziesięcioletniego chłopca, który najwyraźniej czuł się niezręcznie w czarnym garniturku i krawacie. Syn Zoe, Jamie Harrison, otrzymał imię po pradziadku. Zoe urodziła go w wieku zaledwie dziewiętnastu lat i nigdy nie wyjawiała, kto jest ojcem. Sir James lojalnie bronił wnuczki i jej decyzji o urodzeniu dziecka, a także tego, by zachować ojcostwo chłopca w tajemnicy.

Joanna pomyślała, że Jamie jest bardzo podobny do matki: takie same delikatne rysy, jasna cera, wielkie, niebieskie oczy. Zoe Harrison starała się trzymać chłopca jak najdalej od kamer. Jeśli Steve zdołał uchwycić matkę i syna razem, zdjęcie powinno trafić na pierwszą stronę jutrzejszego wydania.

W następnej kolejności szedł brat Zoe, Marcus Harrison. Joanna przyjrzała mu się, gdy mijał jej ławkę. Choć jej myśli nadal zaprzętał Matthew, musiała przyznać, że Marcus Harrison to prawdziwe ciacho, jak by powiedziała jej koleżanka reporterka Alice. Joanna pamiętała go z kronik towarzyskich; ostatnio wi-

dywano go u boku jasnowłosej brytyjskiej celebrytki o trójczłonowym nazwisku. W odróżnieniu od siostry był śniady, miał jednak takie same niebieskie oczy i emanował samczą pewnością siebie. Z włosami prawie do ramion, w wymiętej czarnej marynarce i białej koszuli rozpiętej pod szyją prezentował się bardzo charyzmatycznie. Joanna z trudem oderwała od niego wzrok. Następnym razem wezmę na cel faceta w średnim wieku, który lubi obserwować ptaki i zbierać znaczki, obiecała sobie. Próbowwała skojarzyć, z czego żył Marcus Harrison... chyba stawiał pierwsze kroki jako producent filmowy. Z pewnością na takiego wyglądał.

– Dzień dobry, panie i panowie – przemówił pastor z ambony. Przed nim stało duże zdjęcie zmarłego okolone białymi różami. – Rodzina sir Jamesa Harrisona pragnie państwa powitać i podziękować za to, że zjawiliście się tu, by złożyć hołd przyjacielowi, koledze, ojcu, dziadkowi, pradziadkowi i może największemu aktorowi w tym kraju. Tych, którym dane było dobrze go poznać, nie zdziwi fakt, że sir James życzył sobie, aby to wydarzenie nie było smutne, lecz radosne. Zarówno jego rodzina, jak i ja uszanowaliśmy jego wolę. Dlatego zaczniemy od ulubionego hymnu sir Jamesa *I Vow to Thee My Country*. Proszę wszystkich o powstanie.

Joanna rozprostowała obolałe nogi, ciesząc się, że organy zaczęły grać akurat w chwili, gdy głośno zakaszłała. Kiedy sięgnęła po kartkę z planem nabożeństwa, uprzedziła ją drobna dłoń z niemal przezroczystą skórą, pod którą widniały niebieskie żyły.

Po raz pierwszy popatrzyła w lewo i przyjrzała się swojej sąsiadce. Zgięta ze starości kobieta sięgała jej najwyżej do piersi. Wspierała się o krawędź ławki, a dłoń trzymająca kartkę mocno drżała. To był jedyny widoczny fragment jej ciała. Resztę skrywał czarny płaszcz do kostek; twarz zasłaniała czarna woalka.

Nie mogąc czytać z powodu drżenia dłoni staruszki, Joanna pochyliła się i zapytała:

– Czy mogłybyśmy się podzielić?

Nieznajoma podała jej kartkę, a ona położyła tak, by staruszka również ją widziała. Joanna próbowała śpiewać, ale to, co

wydobywało się z jej gardła, było raczej chrypieniem. Gdy hymn się skończył, a jej sąsiadka zaczęła siadać, Joanna bez słowa podała jej rękę, starsza pani zignorowała jednak pomoc.

– Na początek przyjaciel zmarłego, sir Laurence Sullivan, przeczyta jego ulubiony sonet, *Sweet Rose of Virtue* Dunbara.

Wierni siedzieli cierpliwie, gdy sędziwy aktor szedł w kierunku ołtarza. Po chwili kościół wypełnił słynny wyrazisty głos, który kiedyś elektryzował tysiące widzów w teatrach całego świata.

– *Słodka różo cnoty, precudna lilio...*

Uwagę Joanny odwróciło skrzypienie za plecami; drzwi otworzyły się i wpadł podmuch mroźnego powietrza. Do kościoła wszedł młody mężczyzna pchający wózek inwalidzki; zatrzymał się obok ławki po drugiej stronie przejścia, zostawił wózek i wyszedł z kościoła. W tym momencie Joanna usłyszała rzęzenie, przy którym jej własne problemy z oskrzelami wydawały się błahostką. Siedząca obok niej staruszka, która najwyraźniej miała atak astmy, wpatrywała się spod woalki w mężczyznę siedzącego na wózku inwalidzkim.

– Nic pani nie jest? – szepnęła dość idiotycznie Joanna, kiedy starsza pani, nadal nie spuszczać wzroku z wózka, przyłożyła dłoń do piersi.

Pastor zapowiedział następny hymn i wierni powstali. Staruszka chwyciła ją za rękę i pokazała drzwi za ich plecami.

Joanna pomogła jej wstać, objęła ją w talii i właściwie dowlokła do końca ławki. Kiedy się tam znalazły, staruszka wtuliła się w jej płaszcz jak dziecko pragnące ochrony. Zimne stalowoszare oczy człowieka na wózku inwalidzkim omiotły je obie. Joanna wzdrygnęła się, oderwała wzrok od mężczyzny i pomogła staruszce dotrzeć do drzwi kościoła, gdzie stał człowiek, który wcześniej pchał wózek.

– Ta pani... – odezwała się Joanna. – Ona potrzebuje...

– ...powietrza – wykrztusiła staruszka.

Mężczyzna pomógł wyprowadzić starszą panią na szary styczniowy dzień. Zeszli po schodach i dotarli do jednej z ławek na dziedzińcu. Zanim Joanna zdążyła poprosić o dalszą pomoc, mło-

dy człowiek czmychnął z powrotem do kościoła i zamknął drzwi. Staruszka osunęła się na ławkę, oddychając z najwyższym trudem.

– Mam wezwać karetkę? – spytała Joanna. – Pani oddech nie brzmi najlepiej.

– Nie! – wydyszała starsza pani z siłą niepasującą do jej kruchości ciała. – Wezwij taksówkę. Zawieź mnie do domu. Proszę...

– Naprawdę sądzę, że powinna pani...

– Proszę! Taksówka! – Kościste palce zacisnęły się na nadgarstku Joanny.

– Dobrze. Proszę tu poczekać.

Joanna wybiegła przez bramę na Bedford Street i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Taksówkarz uprzejmie wysiadł i pomógł doprowadzić starszą panią do samochodu.

– Nic jej nie jest? – spytał, gdy usadowili ją na tylnym siedzeniu. – Trochę słabo oddycha. Nie powinna pojechać do szpitala?

– Twierdzi, że chce jechać do domu. – Joanna nachyliła się i zajrzała do taksówki. – A właściwie gdzie jest pani dom?

– Ja... – Wysiłek związany z wsiadaniem do taksówki najwyraźniej wyczerpał staruszkę; siedziała, ciężko dysząc.

– Przykro mi, kochanie. – Taksówkarz pokręcił głową, patrząc na Joannę. – Nie mogę nigdzie zawieźć tej pani w takim stanie, na pewno nie samej. Nie chcę zgonu w taksówce. Za duży kłopot. Mógłbym ją zabrać, gdybyś ty też pojechała. Wtedy nie ja będę odpowiadał, tylko ty.

– Ja jej nie znam... To znaczy... jestem w pracy... W tej chwili powinnam być w kościele.

– Przykro mi, kochana – zwrócił się do staruszki. – Musisz wysiąść.

Uniosła woalkę i Joanna ujrzała przerażone mlecznoblękitne oczy.

– Proszę – wyszeptała staruszka.

– Dobrze, dobrze. – Joanna westchnęła z rezygnacją i zajęła miejsce z tyłu. – Dokąd?

– ... Mary... Mary...

– Nie. Dokąd? – powtórzyła Joanna.

– Mary... le...

– Ma pani na myśli Marylebone? – spytał z za kierownicy taksówkarz.

Starsza pani z wyraźną ulgą przytaknęła.

– Robi się.

Gdy ruszyli, staruszka niespokojnie wyglądała przez okno. Oparła głowę na czarnym skórzanym zagłówku i zamknęła oczy; jej oddech stopniowo wrócił do normy.

Joanna westchnęła. Coraz lepiej. Alec ukrzyżowałby ją, gdyby wiedział, że wyszła z kościoła przed zakończeniem nabożeństwa. Historia o starszej pani, która zasłała, nie zrobiłaby na nim wrażenia. Staruszki interesowały Aleca tylko wtedy, gdy pobił je skinhead, ukradł rentę i zostawił na pewną śmierć.

– Jesteśmy już prawie w Marylebone. Możesz spróbować się dowiedzieć, dokąd dokładnie jedziemy? – spytał taksówkarz.

– Marylebone High dziewiętnaście. – Głos starszej pani zabrzmiał tak mocno i wyraźnie, że Joanna spojrzała na nią zdziwiona.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak, dziękuję. Przepraszam za kłopot. Powinna pani tu wysiąść – powiedziała, gdy zatrzymali się na światłach. – Dam już sobie radę.

– Nie. Odprowadzę panią do domu. Skoro już tu jestem...

Staruszka pokręciła głową najmocniej, jak potrafiła.

– Proszę, dla pani własnego dobra. Ja...

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Pomogę pani wejść do domu i sobie pójdę.

Westchnęła, skuliła się i nie odezwała się więcej ani słowem, dopóki taksówka się nie zatrzymała.

– Jesteśmy, kochana. – Taksiarz, wyraźnie uradowany, że pasażerka nie zeszła podczas jazdy, otworzył drzwi.

– Niech pan to weźmie. – Staruszka wręczyła mu pięćdziesięciofuntowy banknot.

– Niestety, nie mam wydać – powiedział, pomógł jej wysiąść na chodnik i podtrzymał ją, póki nie podeszła Joanna.

– Proszę. – Joanna podała mu dwadzieścia funtów. – Niech pan tu na mnie poczeka. Wracam za moment.

Starsza pani zdążyła już uwolnić się z jej uścisku i niepewnym krokiem szła w stronę drzwi obok kiosku. Joanna ruszyła za nią.

– Moge? – spytała, gdy starszka artretycznymi palcami usiłowała wsunąć klucz do zamka.

– Dziękuję.

Joanna przekręciła klucz, otworzyła drzwi, a starsza pani niemal w nie wpadła.

– Wejdz, wejdz, szybko!

– Ja... – próbowała protestować Joanna, która po odwiezieniu tej kobiety do domu zamierzała wrócić do kościoła. – No dobrze. – Niepewnie weszła do środka, a starszka natychmiast zatrzasnęła za nią drzwi.

– Proszę iść za mną. – Ruszyła do drzwi po lewej stronie wąskiego korytarza. Po zmaganiach z kolejnym kluczem wreszcie je otworzyła, a Joanna wkroczyła za nią w ciemność. – Światło jest tuż za tobą po prawej.

Joanna pstryknęła włącznik i ujrzała, że stoi w niedużym zaćmionym holu. Przed sobą miała troje drzwi, po prawej schody.

Gdy starszka otworzyła jedno z drzwi i zapaliła światło, oczom Joanny ukazał się pokój pełen poustawianych w sterety drewnianych skrzynek po herbacie. Na środku stało wąskie zardzewiałe żelazne łóżko. Pod ścianą, wciśnięty między skrzynki, stał stary fotel. Silny zapach moczu przyprawiał Joannę o mdłości.

Starsza pani podeszła do krzesła, usiadła z westchnieniem ulgi i wskazała leżącą przy łóżku skrzynkę po herbacie.

– Tabletki... moje tabletki.

Joanna ostrożnie przeszła między skrzynkami i wzięła leki; zauważyła, że ulotka z zaleceniem dawkowania jest po francusku.

– Dziękuję. Poproszę dwie. I wodę.

Podła jej szklankę wody, która stała obok lekarstwa, otworzyła buteleczkę, wysypała dwie tabletki na drżącą dłoń i patrzyła, jak kobieta je połyka. Joanna zastanawiała się, czy wypada już odejść. Panujący w pokoju zaduch i przygnębiająca atmosfera dawały się jej we znaki. Wzdrygnęła się i zapytała:



- Na pewno nie potrzebuje pani lekarza?
  - Na pewno. Dobrze wiem, co mi dolega, kochanie. – Na ustach starszej pani pojawił się nieznaczny uśmiech.
  - No tak... Niestety, powinnam wracać do kościoła. Muszę napisać artykuł.
  - Jesteś dziennikarką? – Teraz, gdy staruszka w pełni odzyskała głos, mówiła z akcentem angielskich wyższych sfer.
  - Tak. Pracuję jako młodsza reporterka w „Morning Mail”.
  - Jak się nazywasz, kochanie?
  - Joanna Haslam. – Joanna wskazała skrzynki. – Czy pani się przeprowadza?
  - Chyba można tak to nazwać. – Zamglone niebieskie oczy zapatrzyły się w dal. – Długo tu już nie zabawię. Może dobrze, że tak się to kończy...
  - Co pani ma na myśli? Jeśli jest pani chora, zabiorę panią do szpitala.
  - Nie, nie. Na to jest już za późno. Wracaj do swego życia, kochanie. Do widzenia. – Starsza pani przymknęła oczy.
- Joanna obserwowała ją przez chwilę, a kiedy kobieta zaczęła pochrapywać, cicho wyszła z pokoju, nie mogąc dłużej znieść jego atmosfery, i pobiegła z powrotem do taksówki.

Gdy wróciła do Covent Garden, nabożeństwo żałobne dobiegło już końca. Limuzyna Harrisonów odjechała, a przed kościołem stała tylko grupka żałobników. Całkowicie przybita Joanna zdołała zebrać od nich garść wypowiedzi, wezwała taksówkę i uznała, że zmarnowała cały ranek.

## 2

Ktoś dzwonił do drzwi. Brzęczenie wwiercało się w obolałą głowę Joanny.

– Booże – jęknęła, gdy zdała sobie sprawę, że gość, kimkolwiek jest, nie zamierza sobie pójść.

Matthew?

Ta myśl podniosła ją na duchu tylko na ułamek sekundy. Matthew świętował pewnie wolność szampanem w łóżku z Samantha.

– Idź sobie! – zawyła i wytarła nos w starą koszulkę swojego eks, co trochę poprawiło jej humor.

Dzwonek rozbrzmiał znowu.

– Szlag by to!

Skapitulowała, wypełzła z łóżka, powlokła się do drzwi i otworzyła.

– Cześć, seksowny kociaku. – Simon miał czelność uśmiechać się do niej. – Wyglądasz fatalnie.

– Cześć – wymamrotała, przytrzymując się drzwi.

– Chodź do mnie.

Utonęła w przyjemnie znajomych objęciach. Mierzący metr dziesięćdziesiąt Simon był jednym z niewielu ludzi, przy których wysoka Joanna czuła się drobna i krucha.

– Wczoraj w nocy po powrocie do domu odsłuchiwałem twoją wiadomość. Przepraszam, że nie mogłaś się wypłakać.

– W porządku. – Wtulona w ramię przyjaciela, pociągnęła nosem.